

Biegunka infodiotów

Spółeczeństwo informacyjne zmusza nas do przerobu coraz większej ilości treści (de facto coraz większej pracy i podnoszenia wydajności). Nie zawsze się to udaje, a jeśli brać pod uwagę procent deklarujących osiągnięcie tak zwanej work-life-ballance, w zasadzie się to nie udaje. Hackowanie życia, czyli proste sposoby na wygospodarowanie wolnego czasu jawią się jak lekarstwo na troski. Pytanie, czy lifehacking zalecza przyczyny, czy może – tylko -skutki. Przecież i na life-hacking potrzebny jest czas.

Prócz tekstów naukowych i para-naukowych zdarza mi się popełnić czasem jakąś formę, za przeproszeniem, literacką. W jednej z nich bohaterem był rosyjski pisarz, Aleksander Russyłowicz, autor wielu absurdalnych utworów *science-fiction*. W opowiadaniu pt. „Kundle” przedstawił on wizję, w której psy ewoluują do formy inteligentnej, rozwijają język i kulturę symboliczną. Tworzą na Ziemi drugie – obok ludzkiego – społeczeństwo. Niedługo po tym chwalebnym wydarzeniu na Ziemi ląduje spodek z międzyplanetarną delegacją zapraszającą naszą planetę do galaktycznego zgromadzenia cywilizacji, w której społeczeństwa mają status opiekunów innego – prostszego – gatunku rozumnego, lub odwrotnie – są przez inne społeczeństwa niańczone, by spokojnie móc się rozwijać. W której puli ląduje dane społeczeństwo zależy od tego, na jakim jest etapie rozwoju oraz czy jest w stanie samo siebie zrozumieć. Psie państwo jest dość prymitywne, ale i tak wystarczająco złożone, by psy miały problem z całkowitym jego zrozumieniem. Pozostawione same sobie prawdopodobnie zagryzłyby się. Psy mają jednak szczęście – ludzie są wymarzonymi opiekunami. Dlatego psia społeczność trwa sobie spokojnie, nie myśli by rozsadzić się od środka, wpaść w kryzys, bądź wypowiedzieć komuś wojnę. Zamiast tego tworzy psią literaturę, rozwija życie religijne, prostą gospodarkę, sztukę, zapożycza od nas różne technologie... istna sielanka. Co innego ludzie. Choć są świetnie zaprojektowani by ogarnąć złożoność psiego państwa, sami mają za małą „moc obliczeniową”, by skutecznie zarządzać swoim światem. Mają pecha, bo w promieniu kilku tysięcy lat świetlnych nie ma nikogo, kto byłby odpowiednim dla *sapiensów* opiekunem. Niestety, sąsiadują z nami cywilizacje bardzo wysoce zaawansowane, dla których opieka nad ludźmi stanowiłaby tylko pasmo niekończących się frustracji. To tak, jak kazać ludziom doglądać przez całe eony – na przykład – pączkujących drożdży. Ale nie bójcie się – mówią kosmici – kogoś wam znajdziemy.

Czy potrzeba nam nowej biurokracji?

Stabilność i pomyślny rozwój społeczeństwa jest naturalnie wypadkową bardzo wielu czynników, zarówno kulturowych (jak zdolność do refleksji nad własną cywilizacją opisywana w opowiadaniu Russyłowicza), jak i *stricte* naturalnych, biopsychologicznych. Nauki ewolucyjne każą przypuszczać, że idealny byt społeczny, do którego jesteśmy zaprogramowani biologicznie to mniej więcej 150 osób. Wtedy wszystko chodzi jak w zegarku. Powyżej tego progu kontakty przestają być bezpośrednie, stają się anonimowe, powierzchowne, zaczynamy traktować się jak przedmioty, a w rezultacie, coś w ludziach niebezpiecznie puchnie i nabrzmiewa, jakaś społecznie generowana frustracja, melancholia, depresja, poczucie osamotnienia. To naturalnie ogromny skrót. Od ładnych kilku tysięcy lat nie żyjemy już na sawannach, ale

tworzymy znacznie bardziej złożone struktury, w obrębie których – z mniejszym lub większym sukcesem - funkcjonujemy. Pytanie jednak, na ile się to nam udaje.

Max Weber, wielki niemiecki socjolog, twierdził, że nie może się to udać bez biurokracji. To ona – zdaniem Webera – ma porządkować rzeczywistość społeczną, gospodarczą i w zasadzie każdą inną. Stanie w kolejkach i wcielanie się w osobę petenta, wypełnianie kwitów, druczków, podań i odwołań, użeranie się z niekończącą liczbą urzędów i departamentów konieczne jest, by społeczeństwo jako tako trwało i nie rozlatywało się. Biurokracja to nic innego niż zracjonalizowana forma rządzenia, ot co. Złożony świat społeczny wymaga złożonych procedur. A one, rzecz można, prowadzą się do kilku podstawowych zasad: wszystkie relacje są odgórnie regulowane, każdy członek organizacji ma ściśle przyporządkowany obszar działań, za które jest odpowiedzialny, dokładnie wiadomo, kto komu podlega, struktury złożone są z ludzi doskonale wyszkolonych, przygotowanych do pełnienia swoich obowiązków, życie prywatne nie przenika się z pracą, informacje przekazywane są drogą oficjalną, w sposób uporządkowany, nie mówiąc już o takich elementach jak stałość posady, bo przecież robota biurokratów nigdy się nie kończy. Otóż to.

Biurokracja, podążając ścieżką paradygmatu funkcjonalnego w socjologii, jest idealnym wręcz narzędziem do sprawowania rządów w rzeczywistości industrialnej, rzeczywistości fabryk, świata w miarę sztywnej struktury społecznej, społeczeństwa powolnych – wciąż jeszcze – przemian naukowo-kulturowo-gospodarczych (powolnych rzecz jasna w skali jednego, dwóch pokoleń). Jeśli jednak zasady działania typowej biurokratycznej instytucji – zarysowane nieco wyżej – starać się przyspawać do obrazu dzisiejszych struktur, coś pęka.

3 miliardy internautów contra 56 bilionów maili

Społeczeństwo postindustrialne, informacyjne, rządzi się już zupełnie innymi prawami. Jego sednem nie jest zakład produkcyjny dostarczający na rynek określone dobra i dający wielu osobom stałą pracę. W jego centrum jest informacja, rzecz ulotna, ale o znaczeniu strategicznym dla wszystkich – zarówno dla jednostek, jak i większych całości. W początkowym okresie rozwoju społeczeństwa informacyjnego, niech będą to lata 30-te i 40-te XX w. W końcu i biurokraci znali wagę i mieli utarte szlaki przekazywania strategicznej informacji. Ale wraz z rozwojem technologii potencjalnie strategicznych informacji zaczęło przybywać. Poszerzmy perspektywę. Pomysłowe statystyki informują nas o blisko 10 zettabajtach danych przetworzonych przez internet zaledwie w roku 2011. To ilość informacji, którą można by zamknąć w książkach ułożonych jedna na drugiej pomiędzy Ziemią a... Neptunem. Przepraszam, przemnożona 40 razy. Dziennie rozsyłanych jest ok. 150 miliardów (!) maili (ponad 50 bilionów rocznie), z czego akurat większość to spam, ale działania w pełni „upodmiotowione” też onieśmielają swoim ogromem: dziennie lajkowanych jest ponad 2,7 miliarda informacji, każdego dnia do portalu Facebook uploadowanych jest 300 milionów zdjęć. Google w 2012 roku odpowiedział na ponad bilion zapytań. Z kolei w ciągu miesiąc na portalu YouTube przeglądanych jest 4 miliardy godzin materiału video. Prawdopodobnie nie byłoby w tym nic niebezpiecznego, gdyby przemiana ta miała charakter jedynie ilościowy. Powyższe zestawienia przekonują, że mamy wystarczające moce przerobowe i potrafimy wyprodukować wystarczającą ilość procesorów, by poradzić sobie z ogromem danych, a nawet przygotowywać bardzo złożone symulacje. Mamy niecałe 3 miliardy internautów, więc jeśli przyjąć że większa część ludzkości w dalszym ciągu nie trzymała w ręce telefonu komórkowego, to wyniki te są wcale imponujące. Ale zmiana ta idzie dalej i ma charakter jakościowy.

Informacja stała się czymś więcej, jest chlebem powszednim, zjawiskiem przezroczystym, towarzyszącym niemal w każdej chwili życia. Tak jak poststrukturaliści mawiali, że wszystko jest tekstem (można było brać to za twierdzenia para-literackie), o tyle dziś, w dobie popularyzujących się coraz bardziej urządzeń w rodzaju Google Glass, Street View, FourSquare, które przerabiają na ciągi bitów niemal każde miejsce naszego otoczenia, praktycznie wszystko może stać się informacją namierzalną przez każdego i nie ma w tym cienia przesady. Procesory sobie z tym radzą, ale czy ludzie również?

Lemowska „bomba megabitowa” może przywołać na myśl przede wszystkim problem uporaniem się z natłokiem informacji. Natłok ten jest znacznym wyzwaniem, na co zwracają uwagę nie tylko komentatorzy i publicyści bliscy Lemowi duchem, ale – przede wszystkim – uczeni, psychologowie i socjologowie. Nie trzeba szukać szczególnie głęboko by dotrzeć do interesujących raportów badawczych, z których wynika to, co stosunkowo łatwo przewidzieć: im więcej informacji, tym większe problemy z uporaniem się z nimi, tym trudniej zorganizować swoją pracę, tym trudniej wykonać ją dobrze, tym trudniej przewidzieć jej rezultat, tym trudniej na odpowiednią reakcję itd. Nadmiar informacji może nie tyle szkodzi (choć pewnie, zależy od punktu widzenia, jakoś tam szkodzi), co przeszkadza. Czysto fizyczne ograniczenia mózgu nie wystarczają, by *par excellence* być dobrze poinformowanym.

W takich momentach jak ten, uruchamia mi się w głowie mianownik socjologiczny, który każe spojrzeć na świat przez statystyczne okulary i przyłożyć wymogi społeczeństwa informacyjnego do niezapomnianej krzywej Gaussa. Ta, jak pamiętamy, swą polityczną niepoprawnością swego czasu wywołała w społeczeństwach Zachodu bardzo poprawny politycznie popłoch. Wiadomo, statystyka, a dokładniej, rzeczony rozkład normalny uczy nas, że najwięcej w przyrodzie – czegokolwiek by nie mierzyć – jest wartości średnich, przeciętnych, zwykłych. W pracy pod tym tytułem, (...) przemycił tym samym pogląd na wskroś przeciwny tak typowej dla kultury zachodniej wierze, która uczy, że wszyscy jesteśmy wyjątkowi. Nie, większość z nas jest totalnie przeciętna. Tylko niektórzy to geniusze i dzieci szczęścia, i tylko niektórzy reprezentują totalne dno. Niewielu jest przy krańcach kontinuum, za to bezpieczna, letnia przestrzeń pomiędzy zapełniona jest po brzegi zwykłakami. A zatem, kontynuując ten wywód, jeśli przyjąć, że przeciętny iloraz inteligencji to ok. 100, może warto bezpiecznie przyjąć, że zdecydowana większość społeczeństwa nie tylko nie potrafi przyjąć określonej ilości informacji, ale nawet jak już tę część przyjmuje, to często jest to cząstka na tyle skomplikowana, że i tak nie wszystko rozumie? Bardziej precyzyjnie ujął to ostatnio burmistrz Londynu Boris Johnson, który w rozbrajającej przemowie miał odwagę stwierdzić, że wiele osób jest po prostu za głupich na to, by poradzić sobie w dzisiejszym świecie. Idea tyleż odrażająca w ustach polityka, co – obawiam się – prawdziwa. Czy naprawdę duża przesadą jest stwierdzić, że przeciętny człowiek cywilizacji zachodniej (nie mówiąc już o „typowym” Ziemianinie, który jest biedny i ma szczęście jeśli jest po podstawówce) nie wie, jak działa rynek, nie potrafi przewidzieć trendów społeczno-kulturowo-konsumenckich, nie ma pojęcia z czego wynikają decyzje konsumenckie, nie potrafi przewidzieć swoich działań w najbliższej, dajmy na to pięcioletniej perspektywie, ma problemy z rozumieniem tekstu drukowanego, nie mówiąc już o znacznych trudnościach w odróżnianiu przekazu neutralnego i nieneutralnego, słabo orientuje się w przyczynach zjawisk społeczno-gospodarczych? Jeśli dodać do tego solidne braki w – po prostu – wiedzy ogólnej, okazuje się, że jesteśmy nie do końca świadomą światą masą, która jakoś usiłuje się sama ze sobą dogadać, ale której nie wychodzi, ponieważ

nie jest w stanie sama siebie zrozumieć. Nie ma czasu, ani umysłowych zasobów, żeby uwzględnić wystarczającą liczbę istotnych czynników.

„Na wczoraj”, czyli nowy grafik dnia

Wizja, w której coraz mniej rozumiemy otaczający nas świat staje się realna. Oczywiście można zadać pytanie, które sfery są rozumiane lepiej, które gorzej i skłonny byłbym zaryzykować odpowiedź, że coraz słabiej rozumiana jest przez nas płaszczyzna zawodowa. Płaszczyzna prywatna jest w znacznej mierze odporna na tego rodzaju procesy, albowiem życie prywatne układamy sobie wciąż w oparciu wzory o preferencje, które zakodowane są w naszym bio-społecznym dziedzictwie. Jednak sfera zawodowa, związana już z funkcjonowaniem tej nadrzędnej struktury zwanej społeczeństwem informacyjnym, wymaga od nas znacznie większego poświęcenia. Jestem przekonany, że można by znaleźć znakomitą ilość przykładów (i kontrprzykładów) dla tej tezy, obawiam się jednak, że nie ma na to miejsca. Pozwolę sobie na dane pochodzące z prywatnych, nieusystematyzowanych wywiadów z zakresu, nazwijmy to, antropologii współczesności. W rozmowach, jakie prowadzę czy to w pracy, czy to ze studentami, czy wreszcie ze znajomymi i rodziną, jak mantra przewija się jedno: nieustający brak czasu, zupełnie, jakbyśmy żyli w kulturze, która nie nadąża. Bolączki, które pojawiają się jak kolejne bolesne tajemnice jakiejś zakłętej litanii stanowią całkowite zaprzeczenie mitu sprawnie działającej biurokracji. Wynika z nich, że wielu z nas może być zatrudnionych w strukturach, w których nie do końca jasne jest, kto za co odpowiada, nie ma utartych szlaków przekazywania informacji, każdy narzeka na warunki zatrudnienia, na konieczność nieustannego doszkalania i powiększania kompetencji, wszyscy są przekonani o zabójczym tempie następujących po sobie dat, i w zasadzie wszędzie pojawia się magiczne słowo *dead-line*. Typowa dość sytuacja to klient, który zgłasza się ze zleceniem na konkretną usługę „na wczoraj”. Dzięki temu dane przedsiębiorstwo wyrabia kolejny rekord normy, oczywiście ze szkodą dla samopoczucia pracowników. Pytam na ogół: czy klient nie rozumie, że skoro budzi się z czymś tak późno, to musi na fachową usługę poczekać? – Nie rozumie. Albo inaczej: rozumie, ale jeśli tego nie zrobimy, pójdzie do naszej konkurencji. Koniec rozmowy. Szefostwo, jeśli jest współczujące, to przeprosi i zmotywuje do jeszcze jednego nadludzkiego wysiłku. Aż do następnego razu.

Chyba nie trzeba grzeszyć przenikliwością, by uświadomić sobie, że jest to rezultat nie tyle opieszałości jakiegoś jednego ogniwa w całym procesie decyzyjnym, które z niewiadomych przyczyn kluczowe działania odwleka na ostatnią chwilę. Jest raczej tak, że na każdym etapie najbardziej istotne dane są przerabiane najdłużej, po prostu, bo jest ich dużo, bo są trudne, nudne i nikt nie chce ich sam z siebie tknąć. Ujmijmy to inaczej: być może jest tak, że nieustanne „na wczoraj” to i informacja, która pojawiła się najszybciej, jak tylko się dało. Po prostu wczoraj nikt nie miał o niczym bladego pojęcia. Mój znajomy nazwał to syndromem permanentnej – z przeproszeniem – sraczki. Ów stan jest zjawiskiem przejściowym, trzeba sobie z nim poradzić, innej rady nie ma. Co jakiś czas taka metaforyczna biegunka dotknąć może i przedsiębiorstwo. Stan alarmowy, konieczność uruchomienia nadzwyczajnych środków, nadzwyczajnej mobilizacji, zwania szeregów, zaciśnięcia zębów (obojętnie, re-branding, wprowadzenie nowego produktu, redukcja kosztów, etatów etc.). Problem w tym, że zwykła biegunka – peroruje znajomy – potrwa i przejdzie. A my w firmie musimy działać tak, jakby trwała cały czas. Końca nie widać. Czy oznacza to, że żyjemy w czasie info-patologii, która zmusza nas do natychmiastowych reakcji na napływające zewsząd dane, które z chwilą odszyfrowania już są nieaktualne? W dodatku, jest to patologia, która doskonale się

umacnia, ponieważ starając się jej sprostać i odpowiadając na wezwanie rynku (vide przygotowując rzecz „na wczoraj”), działania takie otrzymują legitymizację i pozytywne wzmocnienie. Da się? Da się!

Zarządzanie życiem: recepta czy nowy mem?

Warto w tym kontekście przytoczyć niedawny tekst filozofa Stevena Poole’a, który na łamach Gazety Wyborczej w tekście „Pochwała nieróbstwa” wskazywał na nowy trend tzw. *lifestylingu*, czyli hackowania, obchodzenia życia, radzenia sobie z nim, a dokładniej wdrażania prostych sposobów na codzienne drobne problemy, tak jak gąszcz kabli pod biurkiem, bałagan w szufladzie czy gubiące się klucze. Spece od *lifestylingu* wymyślają proste metody radzenia sobie z takimi codziennymi bolączkami – by szybko schłodzić piwo wystarczy je wsadzić do lodówki owinięte mokrym papierowym ręcznikiem, zamiast robić długi spis zakupów wystarczy zrobić telefonem zdjęcie otwartej lodówki etc. Proste i skuteczne. Jednocześnie – wskazuje Poole – *lifestyling* nie jest niczym innym jak patentem na średniej jakości zabawę w przeglądanie takich cud-przepisów, które zamiast hackować życie, po prostu zabierają czas. Sam przejrzałem kiedyś galerijkę podobnych memów i – mimo zachwyty na prostotę niektórych pomysłów – nie wdrożyłem żadnego. Dziś od wielu osób słyszałem o patencie na chłodzenie piwa, ale żadna z nich tego jeszcze nie próbowała. Przypadek? Czy może jednak świadectwo pewnego trendu: nadmiar informacji i tempo życia nie pozwalają na uporządkowanie najprostszych spraw, generowane są rozwiązania, ale mają one status dobrego dowcipu, bo na wprowadzanie ich w czyn nie ma czasu, jako że pożerany jest on na konsumpcję kolejnych treści? Czyżby ponowne uderzenie biegunki?

Popularność *lifestylingu* – a przynajmniej zauważalna ostatnio moda na podobne pomysły – świadczyć mogą o rozwoju i rychłej popularności osobliwej niszy rynkowej, usług oferujących skuteczne „zarządzanie życiem” (nazwa zresztą z powodzeniem już funkcjonująca w podręcznikach o optymalizacji i podnoszeniu wydajności szeroko rozumianego dnia codziennego, od zakładania spodni po wieczorną kąpiel). Tego rodzaju oferta z powodzeniem się rozwija, jednak szczęśliwych ludzi wcale od niej nie przybywa. Zgodnie z danymi GUS zaledwie 16% Polaków twierdzi, że udaje im się osiągać równowagę pomiędzy życiem zawodowym a prywatnym. Cała reszta – mówiąc w skrócie – zostaje po godzinach i godzi się na to okupując to powolnym rozpadem więzi rodzinnych i sezonową przynajmniej depresją. Podręczniki – gdybym miał pokusić się o drobne prognozy – niewiele w tym cyklu zmieniają. Na nie trzeba mieć czas, a podobno tego właśnie brakuje. To, czego nam brakuje, to aplikacja do zarządzania życiem, którą można ściągnąć na iPhone’a i skrupulatnie śledzić grafik dnia sporządzany przez program, wsłuchiwać się w dyskretne alarmy i dopingi. Czegoś takiego jeszcze nie ma, ale być może się pojawi.

Narcyza transmedialna narracja

Czy istnieje górna granica produkowania i przetwarzania informacji? Czy istnieje górna granica prędkości funkcjonowania rynku? Prawdopodobnie istnieje i niewykluczone, że jesteśmy już blisko osiągnięcia jej. Produkcja, ze względu na ograniczenia fizyczne całej maszynierii, zawsze ma swój limit, zawsze postawi barierę. Z tego powodu zastępowalność mód nie może wiecznie przyspieszać. A skoro tak, prawdopodobnie społeczeństwo w którymś momencie osiągnie etap, że „już szybciej się nie da”. Pytanie, jak tego dokona? Czy ludzie będą w tym momencie podmiotem życia społecznego (jak, miejmy nadzieję, jeszcze jest), czy też będzie to życie społeczne służące – tak, służące – rozwojowi technologii i będące dla niego stosownym paliwem?

(Niby dlaczego nie ziścić się ma Lemowsko-podobna wizja ewolucji maszyn, której ludzie są tylko narzędziem?).

Przyznam, że z tej perspektywy coraz mniej dziwi mnie zjawisko, które z taką lubością opisywali swego czasu publicyści i psychologowie: rozkwitu osobowości narcystycznej, której mekką stał się nieomalże Facebook. Portale społecznościowe – grzmią krytycy, swego czasu zresztą i ja wśród nich – to okazja, by dać upust wewnętrznemu ekshibicjonizmowi, zaszczuwania otoczenia samym sobą, błagania o największą ilość lajków, sycenie próżnych popędów, społecznego dopieszczania się etc. Z drugiej strony, czy nie jest to jednak wymowne świadectwo problemów z uporządkowaniem wielu sfer swojego życia? Może to najzwyczajsza w świecie reakcja obronna? Może – kreując opowiadanie o swoim życiu – poszukujemy harmonii i staramy się o niej przekonać całe nasze otoczenie? Transmedialna opowieść o nas samych, choć tak przeciętna, tak zwykła, staje się okazją do walki z info-entropią. Nasza strona, nasz profil, to jedno z niewielu miejsc, nad którym mam jeszcze kontrolę. Nad całą resztą, tak przecież ulotną, po prostu nie nadążam. Nie mam czasu, by wypowiedzieć się w tylu sprawach, które pojawiają się każdego dnia, wielu z nich po prostu nie rozumiem, zostawię więc swój ślad „szerując” (udostępniając) jakiś news, który po prostu zwrócił moją uwagę, okraszę go komentarzem, żeby było wiadomo, że też mam jakieś opinie. Jeśli spojrzeć na ten problem od tej strony, popularność portali społecznościowych może być postrzegana nie jako forma korzystania z kolejnej usługi oferowanej przez sieć, ale może być rozpaczliwą próbą odnalezienia swojego kawałka przestrzeni, którego tak potrzebujemy. Jesteśmy stworzeniami terytorialnymi, pozostajemy nimi od tysięcy lat, terytorium każdego z nas, obszar, z którym się utożsamiamy i które eksploatujemy, w dzisiejszych czasach przeewoluował (musiał przeewoluować) do stadium profilu na portalu. Czy jest to rezultat wymyślnej autostymulacji i błagania o lajki, czy może wyniki bardziej elementarnych potrzeb psycho-społecznych budowania narracji o swoim życiu, jakkolwiek żałosne czy ubogie by ono nie było – jest, jak sądzę, ważnym pytaniem, na który nauki społeczne muszą znaleźć odpowiedź.

Tomasz Kozłowski jest adiunktem w Katedrze Kulturoznawstwa w Wyższej Szkole Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa w Poznaniu. Zajmuje się socjoantropologią popkultury i psychologią ewolucyjną. Jego ostatnia książka „Samotny hulaka. Rzecz o proto-kulture ery pop” ukazała się nakładem Oficyny Wydawniczej ŁośGraf